

# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



## ŚLIZGAWKA.

Otuliła śnieżna zima  
Lekkim puchem cały świat,  
Jak brylanty skrzą się lody,  
Szron jak biały srebrzy kwiat.

Spi natura, wśród tej ciszy  
Kolysankę wiatr jej gra,  
W borze huczy, jęczy, dzwoni,  
Tuman śniegu w pole gna...

Zimno — biedna drży dziecina,  
A w nędzarza izbie głód,  
Brylantowa, śnieżna pani  
Ma na datek tylko chłód.

Pod jej mroźnem, ostrem tchnieniem,  
Rzeki lodem ścięły się,  
Po nauce, miła dziatwo,  
Na ślizgawkę, dalejże!

W ciepłym futrze chłód nie dojmie,  
Choć mrozik skrzypi aż,  
Choć cię zimno nawskroś przejdzie  
Zarumieni całą twarz.

Lecz ochocza to zabawa  
W dal po śliskim lodzie mknąć,  
Uśmiech w twarzy, radość w oku,  
Bądź wesolą, dziatwo, bądź!

Ręka w rękę miło dzielić  
Gdy przyjemność, czy też trud,  
I podprzeć słabsze ramię,  
Hej, dziś pora, więc na lód!

## TAJEMNICE STARYCH GROBOWCÓW.

Nieraz wyobrażamy sobie życie różnych ludów, przed bardzo dawnymi laty i przypuszczamy, że było ono podobne do życia dzikich, o których czytamy w podróży nowoczesnych albo też których mamy niekiedy sposobność oglądać jak Dahomejki lub Samoanki w Panopticum.

W starożytności były przecież narody mające swą cywilizację, a niektóre były już rozwinięte w epoce tak od nas odległej, że z trudnością wyobraźnią nawet dosięgnąć możemy niezmierną ilość nie już lat, ale wieków, jakie nas od nich dzieli.

Od Narodzenia Chrystusa upłynęło 1896 lat a jakież zmiany zaszły w ludzkości od tego czasu, porównać nawet niepodobna życia ówczesnego z dzisiejszem, jednakże na wiele tysięcy lat przed naszą erą, budowano już pomniki przejmujące nas podziwem, zwłaszcza gdy się zastanowimy, jakimi to środkami posługiwać się musieli ludzie, nie posiadający żadnej z machin, ułatwiających dźwiganie ogromnych głazów.

Narodem, który najdawniej posiadał pomniki sztuki i literatury byli Egipcjanie, a im więcej poznajemy ich zażytki literackie, im głębiej uczeni badają: ich obyczaje, układ społeczny, wierzenia, tembardziej kraj ten wydaje się zajmującym.

Dawni Egipcjanie wymyślili sobie sposób pisania, który długi czas stanowił tajemnicę, nie było bowiem nikogo, któryby objaśnił znaczenie owych dziwnych znaków, pokrywających wysokie obeliski, wykute z jednej bryły granitu, tajemnicze grobowce nkryste z największą starannością w skałach i podziemiach, skrzynie, w których zamknięte były mumie a wreszcie zwoje papyrusów, które się nieraz przy mumii znajdują i opowiadają dzieje jej życia.

Wszystko było tajemnicze w tym narodzie, którego szczątki dawno zapomniały o minionych świetnościach, kiedy to przed Faraonem korzył się lud a on groźny, niedostępny, potężny, wydawał się jakąś istotą nadprzyrodzoną, zwykłym śmiertelnikom i z głębi swych pałaców wydawał rozkazy, spełniane w jednej chwili przez tłumy urzędników, noszących najrozmaitsze tytuły.

Pismo Egipcjan czyli hieroglify, było to tak zwane pismo obrazkowe, to jest, że przedmioty wyrażano nie za pomocą głosek ale rysunku. Samem jednak rysunkiem, niepodobna najprostszego zdania ułożyć, bo rysunek nie odda ani czasu, ani przestżeni, ani żadnej okoliczności, w której nawet istniejący przedmiot przedstawić chcemy. Prędko więc Egipcjanie musieli do obrazków dołączyć pewne umówione znaki, a wreszcie i same obrazki przybrały kształty łatwe do narysowania a mające wyobrażać przedmioty, z którymi tylko przedstawiają dalekie podobieństwa. I jakżeż to było nie wtajemniczonym odczytać podobne pismo?

Długi czas spoglądano na nie jako na zagadki, których nikt nie rozwiąże, a te zagadki były tem ciekawsze, iż ukrywały w sobie tajemnice cywilizacji, o której wyobrażenie dawały nam takie pamiątki, jak olbrzymie piramidy, zaliczone przez starożytnych do siedmiu cudów świata, jak misternie wyrobione posągi i sfinksy, wytwór fantazy egipskiej przedstawiające ciała lwie, niekiedy skrzydlate z ludzkimi głowami, albo też bożków, które miały postacie ludzkie a głowy zwierząt i ptaków.

Często też trafiano przypadkowym sposobem na grobowiec a ten zabudowany był zawsze w taki sposób, ażeby utrudnić lub nawet niepodobnem uczynić, jego odnalezienie. Jeśli był wykuty w skale, wejście było tak szczelnie zamurowane; dowiecnie ukryte, iż najwprawniejsze oko nieraz dojrzeć nie mogło spojenia skały. Taki grobowiec zawierał zawsze długi, bardzo wąski korytarz, prowadzący do pustej komnaty, za którą dopiero znajdował się pokój mumii czyli grobowiec właściwy. Ściany jego przyozdabiane były w malowidła o żywych barwach, a w samym pokoju mumii znajdowały się

rzeczy przez osobę zmarłą ulubione ozdoby, klejnoty, sprzęty których używała. Jeśli zaś grobowiec był podziemny, prowadziły do niego prawdziwe labirynty korytarzy, widocznie na to przeznaczone, ażeby zabezpieczyć tajemnicę ostatniego schronienia.

Światło do komnat grobowych nie dostawało się znikąd, widocznie więc malowidła przeznaczone były tylko dla ducha osoby zmarłej, która miała inne zmysły niż żyjący i jedna bez światła mogła je widzieć. Grobowce, oraz zabezpieczenie ciała od zniszczenia, stanowiło największą troskę Egipcjan. Przekonano się nawet, że olbrzymie masy kamienne, zwane piramidami, nad których przeznaczeniem długo łamano sobie głowę, były tylko grobowcami królów. W największej z nich tak zwanej piramidzie Cheopsa, odkryto wejście starannie zamaskowane, tak niskie, że w wielu miejscach czołgać się w niem trzeba, korytarz ten ma wiele odnóg, nigdzie nie prowadzących, ale przez niego dostać się można do dwóch osobnych maleńkich komnat, które nazwano komnatą króla i królowej.

Naturalnie, że te wszystkie odkrycia budziły coraz większe zaciekawienie, próbowano odczytywać pismo egipskie, aż wreszcie Champollion (uczony francuski), korzystając z prac poprzedników, pierwszy sformułował właściwy systemat pisma egipskiego w pierwszy połowie naszego wieku i zaczął odczytywać napisy na pomnikach.

Systemat jego jednak dopiero zyskał ogólne uznanie, gdy odnaleziono w Rosette tablicę z napisem hieroglificznym i jego greckiem tłumaczeniem.

Odtąd skarby prastarej cywilizacji otworzyły się przed światem, a grobowce wypowiedziały swoje tajemnice. Codziennie powiększa się zasób wiadomości o tym dziwnym kraju, zaczynamy rozumieć, że jego zwyczaje z pozorów dziwaczne, pochodziły z wierzeń religijnych i całego szeregu pojęć o drugim życiu.

Egipcjanie wyobrażali sobie, że duch człowieka istnieje dopóty, dopóki zachowane jest jego ciało albo też posąg i stąd zwyczaj balsamowania oraz odtwarzania wiernej podobizny zmarłego w posągu. To też rzeźby egipskie posiadają niezmierny realizm, naśladowane są w posągach nawet brodawki pierwowzoru, ażeby przez doskonałą podobiznę urobić dla ducha miejsce odpoczynku i zapewnić mu trwale istnienie. Dla tego także tak starannie ukrywano groby, ażeby nieprzyjazna lub niedbała ręka, nie zniszczyła przypadkiem przybytku przygotowanego dla ducha, który przyozdabiano mu na wieczność, jak się przyozdabia dom ukochanej osoby.

Wkładano też zwykle do grobu opis żywota zmarłych czyli rodzaj przewodnika dla ducha, obejmujący instrukcje, jak się ma znajdować na tamtym świecie w obec potęg które sądzić go będą.

Książki, a właściwiej mówiąc zwoje papyrusów, które je zastępowały, były u Egipcjan bardzo cenione. Jeden z najstarszych rękopisów, znaleziony w grobie Uny, który żył na 3,300 lub 3,200 lat przed Chrystusem, wspomina, iż był on zawiadowcą wielkiego „domu pisan”, to jest mówiąc po naszym bibliotekarzem wielkiej księżnicy władców.

MARYA ŁOPUSZAŃSKA.

## NA PUSTYNI.

(Dokończenie).

— To dobrze, że panuńcie trafiły do Wołczyniec, inaczej mogłyby całą noc błądzić po tym lesie — mówił wieśniak powożąc. — Ja sam błądziłem tu raz cały dzień, gdy jeszcze byłem małym chłopcem.

Jankę chłosecz wstrząsała na te słowa i dziękowała Bogu, że je zawiódł do Wołczyniec.

Nagle rozległo się wołanie po lesie: „Hop! hop!”

— To może nas szukają! — zawołała Marcelka.

Wieśniak odkrzyknął: „Hop! hop!” i natychmiast rozległy się radosne okrzyki; Jance nawet zdawało się, że odróżnia głos wuja. Więc krzyknęła także z całej siły: „Hop! hop!”

Wreszcie na drodze przed nimi błysnęło światło latarni i ukazała się gromadka ludzi.

— To pewno one! — zawołał jakiś głos w ciemności.

Janka poznała głos swego wuja i krzyknęła ucieszona:

— To my, wujaszku!

— No, chwałaż Bogu — rzekł wuj, a jednocześnie rozległy się radosne wrzaski chłopców, którzy obścapiłi wóz, wołając:

— Nareszcie się znalazły, a myśmy was tak długo szukali po lesie.

Tymczasem Marcelka była już w objęciach ojca, który również należał do wyprawy w celu odszukania zbłąkanych.

Wrócono więc wesoło do domu; dziewczęta jechały na wozie, a reszta towarzystwa postępowwała obok. Wuj opowiadał, jak zniknięcie Janki zaniepokoiło dom cały i jak dopiero od pewnego chłopca, który je widział obie dążące do lasu, dowiedziano się w jakim kierunku robić poszukiwania.

— O, wujaszku, sama czuję moją winę i nie wiem, jak mam przeprosić za niepokój, jaki wam sprawiłam — zawołała Janka.

— Moje dziecko, ja się nie gniewam wcale, ale trzeba było choć komukolwiek w domu wspomnieć że idziecie do lasu; przecież chłopcy chętnieby ci towarzyszyli. Nieprawdaż chłopcy?

— A jakże, tatku, i nie dalibyśmy Jance zabłądzić! — zawołałi chłopcy chórem.

— Odtąd więc pamiętajcie żebyście stanowili honorową straż dla siostry — ośwał się wuj poważnie — gdyż obowiązkiem uczciwego mężczyzny jest bronić kobietę od wszelkiego niebezpieczeństwa.

— Dobrze, będziemy teraz Jankę strzedz, jak oka w głowie! — zawołał Miecio.

Zaczęli następnie opowiadać, jak schodzili z ojcem cały las wołając i szukając zgubionych dziewcząt, przyczem w myśli porównywali siebie do bohaterów z przeczytanych powieści Mein-Reid'a gdzie jest mowa o czerwonoskórych, porywających im siostry. Staś, który także należał do wyprawy, tak się wcielił w swą rolę, że nawet wyciął sobie kij gruby, aby walczyć z niegodziwymi czerwonoskórymi.

Byli już blisko wsi, kiedy usłyszeli na bocznej drodze tentent; był to Władek, który nadjechał konno.

— A co, czy znaleźliście? — zapytał zdaleka. — Ja już objechałem z tantej strony cały kawał lasu...

— Są, są, dzięki Bogu — odrzekł wuj.

Władek odetchnął głęboko na te pocieszające słowa.

— Ale jak mogłaś, Janko, nie uprzedzić nas, że idziesz do lasu? — ośwał się po chwili z wymówką. — Cóż za myśl brać za przewodniczkę Marcelkę...

— Daj jej pokój — odrzekł wuj — ona i tak pewnie dość miała strachu i zmęczenia.

— O, tak, wuju — rzekła cicho Janka.

— Biedna Janka! — zawołał ze współczuciem Władek — daruj mi, żem cię przywitał wymówkami.

— Ja sama sobie wyrzucam, żem wam taki niepokój sprawiła.

— Żeś nam strachu narobiła, to prawda; nigdy jeszcze nie widziałem mamy naszej w takim jak dziś niepokoju.

Tak rozmawiając, zajechali przed dwór. Na ganek wybiegła ciotka, a ujrawszy Jankę, zaczęła ją ścisnąć, śmiejąc się, płacząc i gderząc zarazem:

— O ty, niegodziwe dziecko, jakże można robić coś podobnego. Ja myślałam, że już dziś umrę z niepokojem...

Janka ucałowała ręce ciotki, wzruszona jej przywiązaniem. Była jednak tak zmęczona, że się natychmiast musiała położyć; w nocy miała nawet trochę gorączki i wciąż zda-

wala jej się, że błądzi po lesie, a nazajutrz czuła się niezmiernie osłabioną i ciotka nie pozwoliła jej wcale wstawać.

Ale cały ten wypadek przekonał ją tylko, jak wszyscy w domu ją kochali. Ciotka dowiadywała się do niej co chwila, zapytując, czy jej czego nie trzeba i co ma dla niej zrobić na obiad; wuj, gdy tylko powrócił z pola, natychmiast przyszedł do niej, zapytując z troskliwością, jak się czuje i starając się rozzerwać ją rozmową; chłopcy na wyścięgi znosili jej kwiaty z lasu, a nawet Antos ofiarował się, że jej będzie czytał Robinsona, co było nadzwyczajnem poświęceniem z jego strony, gdyż zwykle nie mógł na jedną chwilę usiedzieć w miejscu. Nawet babcia, która zazwyczaj nie opuszczała swego pokoiku, przyszła ją odwiedzić; słowem Janka czuła się ze wszech stron otoczona troskliwą starannością, która przebiegała w każdym słowie i czynieniu.

W parę dni po owem zdarzeniu Janka odebrała list od wuja z Warszawy, w którym zapytywał ją, czy bardzo się nudzi w Hołoskowcach i że jeżeli chce, to mogłaby niedługo powrócić do Warszawy, a ztamtąd pojechać do krewnych, mieszkających na wsi w pobliżu Kalisza.

Jance serce zaczęło bić żywo, gdy to przeczytała, bo owi krewni z pod Kalisza byli to ludzie zamożni i w domu ich każdego lata na wakacje zjeżdżało się dużo młodzieży i bawiono się bardzo wesoło. Ale po chwili przyszło jej na myśl, że jednak przykro by jej było opuścić dom, gdzie ją tak pokochano i gdzie w istocie stała się promykiem słońca. Wahała się więc, sama nie wiedząc, co ma uczynić, i postanowiła list ten pokazać babci.

— Moje dziecko — odrzekła starszuszka, przeczytawszy go — nie mogę ci nic doradzać, uczyn jak ci serce dyktuje. Tam oczekuje cię przyjemne przepędzenie czasu w gronie przyjaciółek i rówieśnic, tu zaś możesz umilić życie ludzom ciężko pracującym i odciętym od świata; wybieraj więc — Ale najlepiej namyśl się pierwaj dobrze, jak masz postąpić, abys później nie żalowała twego postanowienia.

Wiadomość o liście, otrzymanym przez Jankę, rozeszła się po całym domu; dziewczę nie mogło zrazu zrozumieć dlaczego przy obiedzie wszyscy byli jakby zasmuceni, ale gdy wstano od stołu, Władek zbliżył się do niej zapytując półgłosem:

— Czy to prawda, Janko, że chcesz nas opuścić?

— Wuj Feliks pisał, że mogę już powrócić do Warszawy, jeżeli chcę...

— A ty, naturalnie chcesz tego i wcale się nie dziwię; u nas tu tak nudno, smutno, a ty przywykłaś do rozrywki. Ale nam bez ciebie będzie jeszcze smutniej.. Tak się cieszyłem, że mamy znów siostrę w domu — dodał po chwili milczenia — że zuów będzie u nas tak jak za życia naszej drogiej Julci... Ale to trudno, ty przecież nie możesz zakochać się na takiej pustyni!

— Znów powtarzasz słowa Wiktora, a wiesz, że ja tego nie lubię — rzekła Janka — przecież nigdy nie nazywałam waszego domu pustynią...

— Ale wiem, że tak o nim myślisz.

— Przepraszam cię, braciszku, ale tego nie możesz wiedzieć, co ja myślę; może wcale inaczej, niż ci się zdaje...

— Na te słowa twarz Władka rozjaśniła się nadzieją i oczekiwaniem.

— Czyżbyś chciała zostać z nami? — zapytała. — Ale nie to być nie może!

Jednocześnie zbliżyła się ciotka, wołając:

— Janeczko, czy być może, czy ty nas naprawdę chcesz porzucić tak prędko? Jakże my tu bez ciebie wyżyjemy?

To rzekłszy, otarła łzę z oka i zaczęła Jankę ścisnąć gwałtownie.

— Ciociu, niech się ciocia uspokoi, ja już nie chcę jechać do Warszawy, ale zostanę z wami jaknajdłużej — rzekła Janka ścisnąc ją także.

— Moje ty kochane, pocziwe dziecko! — zawołała ciotka wzruszona. Ale czy nie będziesz się nudziła z nami prostakami? Bo my już zapomnieliśmy jak się to w salonie rozmawia.

— Ale za to macie nieocenione serca, jakich nigdzie nie spotkałam w salonach — rzekła Janka, a po chwili dodała cicho: — Będę się starała choć trochę zastąpić wam Julcię...

— Drogie moje dziecko, ja też właśnie dlatego cię tak pokochałam, że mi ją przypominasz. Nieraz mówiłam do męża, że chciałabym, byś została z nami na zawsze, bo by mi się zdawało, że odzyskałam córkę.

— Poczekaj, żono — rzekł poważnie wuj, który się dotąd nie odzywał — nim się ostatecznie zdecyduje, muszę z nią w pierw pomówić i pokazać jej pewien list Feliksa.

Poczem zaprowadził Jankę do swego pokoju, a gdy usiadła, podał jej ów list, mówiąc:

— Przeczytaj go, a potem dopiero powiedz, czy zostajesz.

List brzmiał w te słowa:

„Moi drodzy, przyszedł wam tu niedługo Jankę, bo chciałyby, żeby poznała, co to jest poważna praca, dotychczas bowiem tylko się bawiła. Piszecie mi, że oboje pracujecie od rana do nocy, otóż to będzie najlepsza szkoła dla takiego dziewczęcia, które zapatruje się na życie z łatwej strony. Proszę was, nauczyć ją, co to są surowe obowiązki moralne, jakie zaciągamy względem społeczeństwa, niech zrozumie, że człowiek, który nie pracuje, jest zerem na świecie. Wprawdzie ona i jej koleżanki nieraz także coś deklamują o pracy samodzielnej, natrzymawszy się na owe panienki, które opuszczają wieś rodzinną, gdzie mają pole do pracy dla drugich i przyjeżdżają do Warszawy, aby zarabiać na życie, dając lekcy, albo malując na porcelanie i odbierając tym sposobem chleb tym, które naprawdę potrzebują zarobku. I to one szumnie nazywają: pracą samodzielną, nie pojmując, że tam u siebie w domu zaniedbały tysiące obowiązków, daleko donioślejszych, których kobieta szlachetna i inyśląca nigdy zaniedbywać nie powinna.

Otóż mam nadzieję, że Janka u was zapomni o tych pustynkich niedowarzonych marzeniach i że pobyt na waszej pustyni wyrobi z niej kobietę zdrową ciałem i duszą, a nie zdenerwowaną lalkę salonową”.

— Jakże więc, moje dziecko, czy zostaniesz na naszej pustyni? — zapytał wuj, skoro Janka skończyła czytać.

— Zostanę — odrzekła Janka z uśmiechem i mam nadzieję, że wuj Feliks gdy mię zobaczy nie nazwie lalką salonową.

Tego dnia była wielka radość w domu z powodu postanowienia Janki, a chłopcy, chcąc okazać jak się cieszą, zaczęli wyprawiać szalone skoki, zupełnie podobne do tych, które wykonywają czerwonoskórzy przy tańcu wojennym.

Janka, po przeczytaniu listu wuja Feliksa, postanowiła wziąć się na serio do pracy, bo wciąż w jej uszach brzmiała nazwa lalki salonowej. Zaczęła więc przypatrywać się gospodarstwu wiejskiemu, które ciotka prowadziła wzorowo i starała się z niemi obznajmiać powoli.

Gdy nadeszła jesień i rozpoczął się zbiór owoców i jarzyn na zimę, oraz smarzenie konfitur i powideł prosiła ciotkę, żeby jej powoli w tem pomagać, na co pani Wilczewska z radością się zgodziła.

Przy tych zajęciach zaskoczyła ich zima, wtenczas w dworze inne życie nastąpiło: wieczorami schodziły się dziewczęta do dużej jadalni, by praść kądziel bo pani Wilczewska mówiła, że najlepsze płótno domowego wyrobu. Janka wtedy brała książkę i czytała głośno coś ciekawego i pouczającego, albo też opowiadała w przystępny sposób to co w książkach mogłoby być niezrozumiałem; słuchano ją z uwagą i skupieniem ducha i tak długi wieczór schodził jak chwilka.

W niedzielę jeżdżono do kościoła, a po południu zazwyczaj zjawiał się młody sąsiad Hołoskowiec, pan Ludwik Krzycki, który odziedziczył niewielki majątek po stryju. Był to człowiek niezmiernie czynny i energiczny, a przytem wykształcony, gdyż skończył wyższy zakład naukowy. Rozmowa jego nie była prózną szermierką słów, jak u Wiktora, ale wszystko, co mówił, było opartem na gruntownych wiadomościach. Janka lubiła gdy przyjeżdżał, bo zawsze coś usłyszała nowego i pouczającego, on też bardzo chętnie z nią rozmawiał.

Powoli dziewczę nabrało takiego zaufania do jego rozumu, że zaczęła zasięgać u niego rady co do rozmaitych zamiarów pracy w przyszłości, bo chciała koniecznie wynaleść sobie jakiś dział w gospodarstwie, wyłącznie do niej należący. Pan Ludwik radził jej, żeby się zajęła ogrodem, obiecując, że jej przywiezie książki, traktujące o ogrodnictwie. Janka, skoro je otrzymała, zaczęła czytać z zapalem, a gdy wiosna nadeszła, prosiła ciotkę, by jej pozostawiła pracę około obsiania ogrodu; od czasu do czasu tylko zwracała się po radę do jej doświadczenia. Była też bardzo dumna z tego, że jarzyny w tym roku udały się jak nigdy, a cały ogród był wzorowo utrzymany, bo z pomocą kuzynów i Romka zwerbowała sobie małych chłopaków ze wsi, którzy jej pleli, podlewali i pracowali



olbrzymie piramidy, zaliczone do siedmiu cudów świata. . (str. 34).

ścieżki, w czem im pomagali niekiedy Staś i Antoś. Raz przy herbacie w obecności pana Ludwika wuj ozwał się z uśmiechem.

— Czy wiecie, że zrobiłem dziś kapitalny interes; mam kupca, któremu wypuszczam cały ogród wraz z sadem w dzierżawę, a on obowiązany mi jest dostarczać zawsze świeżych jarzyn i owoców na potrzeby domowe.

— Cóż to za kupiec? — zapytała ciotka. — Przecież dziś nikt u ciebie nie był.

— A ot tu go masz przed sobą — rzekł wuj, wskazując na Jankę. — Odtąd ona ma być naszą dostawczynią, resztę może sobie sprzedawać, jeśli zechce.

— Pan Ciarkiewicz, wujaszku, obiecał, że mi da kupca na kartofle — ozwała się Janka z uśmiechem.

Ciotka była bardzo zadowolona z takiego układu rzeczy, bo brakło jej czasu do zajęcia się ogrodem i dlatego był on nieco zaniedbany, teraz zaś troska o niego zupełnie spadała na Jankę.

Wuj Feliks znów napisał do niej, czy by nie chciała powrócić do Warszawy, ale tym razem bez wahania się odpowiedziała mu stanowczo, że jej tu tak dobrze u ciotki, że nie chce wracać wcale.

Pod kierunkiem pani Wilczewskiej nabierała coraz więcej doświadczenia gospodarskiego, a przytem obudziło się w niej zamiłowanie do tych prostych zajęć; ciotka wróżyła jej,

że kiedyś zostanie sławną gospodynią, a babcia dodawała zachęty i pobudzała do wytrwałości w obranym kierunku.

Na następną wiosnę pani Wilczewska donosiła wujowi Feliksowi o zaręczynach Janki z panem Ludwikiem Krzyckim.

## GEOGRAFIA ILUSTROWANA.

Czy jest co ciekawszego nad opis ziemi, jej łądów, oceanów, łańcuchów gór, wulkanów, oraz wszystkich zjawisk odbywających się na jej powierzchni. Niektóre z tych zjawisk są powolne, inne znów działają z przerażającą gwałtownością, a jedne i drugie przekształcają ziemię, zmieniają konturę jej wybrzeży, niwelują góry, wzdymają łądy i świadczą, że siły natury są nieustannie czynne, jakkolwiek w wielu razach z rezultatów tylko sądzić o tem możemy.

Dokładny opis naszej ziemi, jako też przemian jakim ulega, zjawisk jakich jest widownią, wraz z wiadomościami o klimacie stref rozmaitych, roślinności, zwierzętach, wreszcie ludziach którzy je zamieszkują, daje piękne dzieło, którego druk tylko co ukończony został nakładem Maurycego Orgelbranda. Jest to przekład geografii powszechnej ilustrowanej Amanda Schweiger - Lerchenfelda, dokonany przez dr. Karola Jurkiewicza, który uzupełnił ją w wielu rzeczach z doskonałą znajomością przedmiotu, używając bardzo pięknego języka, co zwykle jest przymiotem niezmiernie rzadkim w przekładach.

Geografia, o której mówimy, jest bardzo dostępną i jasną, a przytem tak zajmującą, że czytać ją można bez zmęczenia jak powieść; pouczająca ta rozrywka daje nam dokładną znajomość naszej ziemskiej siedziby, i to nietylko takiej jaka wyszła z rąk Stwórcy, ale ze wszystkimi pomnikami dawnej cywilizacji i nowożytnych zdobyczy wiedzy.

Ważnym bardzo dodatkiem do opisów są ilustracje. Za ich pomocą przesuwają się istotnie przed oczyma czytelnika dziewicze lasy Afryki nad Nyansa i Ameryki południowej nad Amazonką, skaliste pustynie pod zwrotnikiem i straszliwe góry lodowe około biegunów. Słowem mamy obrazy natury w jej najciekawszych okazach, jak góry stożkowe w kraju przylądkowym, wspaniałe wodospady, wrota skalne w Ameryce podbiegunowej i najwdzięczniejsze podobno do jezior całego świata uroczce Como, ażeby dać wyobrażenie zarówno o najgroźniejszych jak pięknych widokach.

Ponieważ zadaniem tej geografii jest zaznajomienie czytelników zarówno z samą ziemią i cywilizacją jej mieszkańców, więc ryciny przedstawiają także różne rasy ludzkie i ich ubiory, począwszy od wyodrębnionych jeszcze ludów Europy, jak mieszkańcy Siedmiogrodu, Rumunii, jak i odda-

lonych od nas przedstawicielei rasy czarnej, żółtej i czerwonej w różnych odmianach.

Znakomity dział zajmują dawne pomniki i widoki małych znanych miast, chaty, rozmaitych ludów, sposoby polowania, dające pojęcie o obyczajach. A wszystko w systematycznym układzie, nadającym tem większą wartość temu obrazowi świata, który znajdować się powinien w każdym inteligentnym domu i służyć do ożywienia suchego często wykładu geografii, w którym pamięć niestety największą rolę.

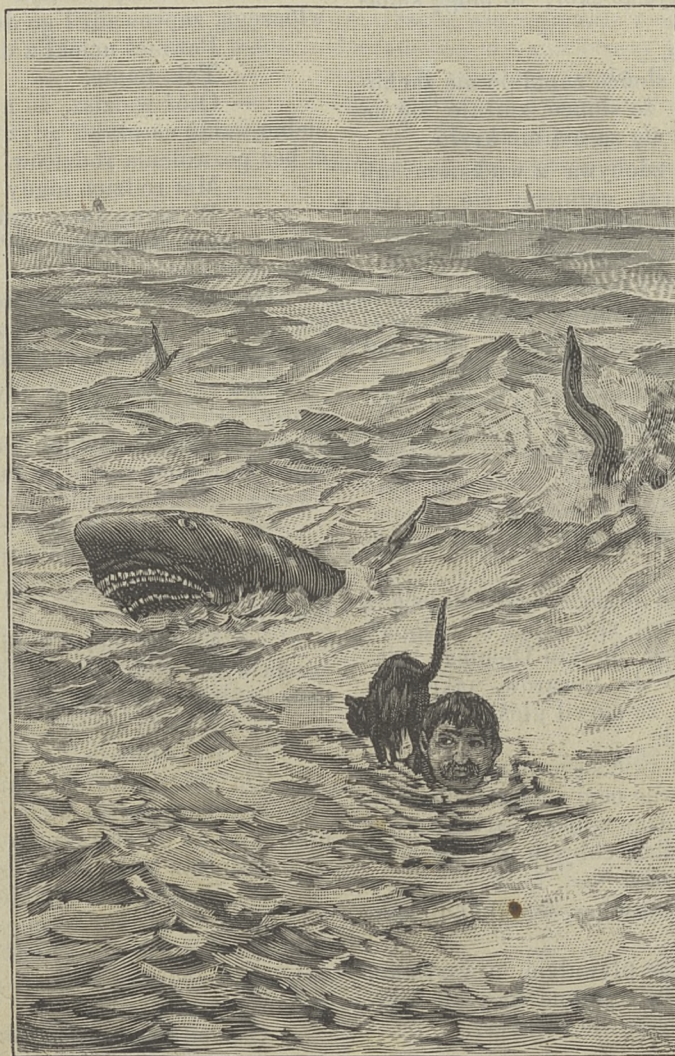
Widok miejscowości, których w czasie lekcji poznajemy, konfigurację i podział polityczny, najlepiej utrwali w myśl i jej obraz, a sławniejsze budowle jakie się w niej znajdują, fizyognomia i strój mieszkańców będzie jej najlepszym dopełnieniem.

Można więc śmiało pochwalić dobrą myśl dr. Jurkiewicza, przyswojenia naszej literaturze dzieła Lerchenfelda, tem bardziej, że tłumacz tak kompetentny i władający przedmiotem, dopełnił wiele opuszczeń autora.

GORDON STABLES.

## WYPRAWA DO GRENLANDYI

i biegunu północnego.



On się jeżył i parskał.. (str. 39).

Liczba ich była nieznaną, ale kapitan Reynolds postępował tak, jak gdyby chodziło o tysiące. Natychmiast wprowadził Speedy w szczelinę, utworzoną w łańcuchu, i z radością spostrzegł, że Pelikan go naśladuje, tylko o paręset stóp na południe.

Reynolds i Joe uśmiechnęli się nieznacznie.

— Joe, czy barometr idzie w górę?

— Tak, panie, od godziny.

To mówiąc, mrugnął na kapitana, który mu w ten sam sposób odpowiedział.

— Na północy wszystko uchodzi — rzekł Smart do swego pomocnika — pokażemy staremu, jak to się wchodzi między lodowce, i wybijemy wszystkie foki, zanim się oni opatrzą.

— Zdaje mi się, że Smart chce nas uprzedzić — rzekł Reynolds. — Niech robi, co mu się podoba.

— Tak, panie, co mu się tylko podoba.

Ale tymczasem Smart udawał, że ze wszystkimi siłami idzie naprzód. Wysadził nawet ludzi na brzeg, którzy niby robili lód toporami, a właściwie wstrzymywali pęd statku.

— Widzicie, Reynolds musi okręt holować — wołał Smart — my ich o pół dnia wyprzedzimy! Hurra!

O dziesiątej wieczorem Pelikan wysłał swoich ludzi do roboty, podczas gdy Speedy jeszcze o trzy mile był oddalony. Ale spotkał ich zawód, bo spodziewali się znaleźć młode, a trafili na stare samce, które w tej epoce trzymają się zwykle razem.

Dopiero około północy Smart spostrzegł, że wpadł w pułapkę. Gwiazdy się wyiskrzyły, barometr poszedł w gó-

rę, i wiatr wiał z zachodu, a zdradziecki Speedy co sił uciekał na pełne morze.

Smart natychmiast zwołał swoich ludzi, ale zanim się zeszli, Pelikan zamarzał na dobre.

Kapitan Reynolds z natury nie był mściwy, ale nie mógł się powstrzymać, żeby przed odjazdem nie wywiesić flagi i nie posłać sygnałów, które znaczyły: Wszystko uchodzi na północy.

#### IV.

##### WCIAŻ MIĘDZY ŁODAMI. — SZALONY PROJEKT.

Speedy, zostawiwszy swego prześladowcę nieruchomego, popłynął na południe i tam znalazł w kilku miejscach znaczne gromady fok, tak, że kapitan Reynolds mówił do Joe:

— Jeżelibym dostał jeszcze tysiąc skór, to mogę śmiało wracać do domu.

I ciągle żeglował na południe.

Było to już późną wiosną, i słońce zupełnie nie zachodziło, noc od dnia tem się różniła, że słońce zniżało się na kraj horyzontu, dotykało wody, ale się za nią nie kryło.

Podczas gdy nasz kapitan zdobywa z większym lub mniejszym powodzeniem swoje skórki, cofniemy się o wiele wstecz i ujrzymy go w fermie angielskiej, wśród zielonych łąk, zdala od morza, a nawet większego jeziora.

W jaki sposób w chłopcu, który nigdy nie widział oceanu, wyrobiło się zamiłowanie do marynarki, zrozumieć trudno. Całe dni spędzał samotnie w polach i lasach, albo nad brzegiem rzeczki; znał wszystkie ptaki i owady i wołał przebywać z nimi, niż w hałaśliwym towarzystwie swoich kolegów szkolnych. Najulubieńszą jednak jego rozrywką było puszczać stateczki z kory drzewnej na wartkie fale strumienia. Wyobrażał sobie, że jest admirałem, budował całe floty i staczał bitwy morskie, a robił to z takim przejęciem, że przechodnie nieraz się zatrzymywali, aby patrzeć na dziwnego chłopca.

Pewnego razu przechodził nad brzegiem rzeczki ksiądz z pobliskiego miasteczka i przystanął, słuchając, co chłopak mówił. Wyprawiał on właśnie okręt do San Domingo i dawał rozporządzenia kapitanowi co do towarów, jakie ma stamtąd przywieźć, i tak się zapalił, że mówił głośno. Ksiądz pochylił się nad dzieckiem i zapytał:

— Zkąd ci przyszło na myśl bawić się w okręty?

Reynolds zerwał się na równe nogi i zaczerwienił po same uszy, bo się bał, że ksiądz będzie z niego żartował, ale ten ośmielił go i razem z nim obmyślał, coby to pożytecznego można przywieźć z tej dalekiej podróży.

— Czy pan długo był na morzu? — zapytał chłopak, zdziwiony tylu wiadomościami.

— Nie, moje dziecko, nigdy nie pływałem, a wszystko, co wiem, zawdzięczam książkom. Ty zapewne niewiele czytujesz? Przyjdź do mnie, to ci pożyczę ile zechcesz.

Chłopcu się oczy zaświeciły.

— Doprawdy? pan mi da książki? O, jaki pan dobry!

— Przyjdź jutro na probostwo, a tymczasem do widzenia.

Osgood, takie imię miał Reynolds, zapomniał o stateczku, który rozbił się o wystające kamienie, i pobiegł do matki, aby jej opowiedzieć przygodę.

— Daj mu Panie Boże zdrowie i długie życie — rzekła wieśniaczka — dobry to ksiądz i śliczne mówi kazania; ale poco tobie książki i czytanie? Ucz się lepiej krowy doić, owce paść.

— Ale matulu ja będę marynarzem.

— Nie moje dziecko, póki ja żyję, nie pójdziesz na morze.

W niedzielę Osgood ustroił się w swoje świąteczne ubranie i poszedł do księdza. Ten go przyjął bardzo łaskawie, rozmawiał długo, a widząc, że chłopiec zdradza wyjątkową inteligencję, dał mu kilka podróży, i kazał częściej przychodzić do siebie.

Od tej chwili zaczęło się dla Osgooda nowe życie. Z książek poznał cały świat, ale, rzecz dziwna, kraje słoneczne nie pociągały go tak mocno, jak okolice podbiegunowe; marzył o wyprawach na ocean lodowaty ku wielkiemu niezadowolaniu rodziców, którzy się stanowczo sprzeciwiali jego powołaniu do marynarki, tłumacząc, że będzie miał dosyć zajęcia w domu i nie potrzebuje szukać go za morzami.

Osgood, widząc, że rodziców nie przekona, postanowił uciec z domu. W ciemną noc zimową wymknął się ze swego pokoiku, wziął ubranie, trochę pieniędzy, które sobie zebrał, i ruszył do Aberdeen. Dowiedział się przedtem, że z portu miał w tych dniach wypłynąć okręt na ocean Lodowaty, i że dowodził nim kapitan Penny, słynny z podróży, jaką odbył na poszukiwanie Franklina. Więc wszedł na pokład i stanął przed kapitanem.

Ten ostatni, widząc, że ma do czynienia nie z prostym włóczęgą, zaprowadził go do kajuty i zapytał:

— Pewnie uciekł z domu, mój chłopcze?

— Tak, panie.

— Otóż widzisz, że nawet gdybym chciał, to nie mogę ciebie wziąć na okręt, gdyż prawo zabrania przyjmować dzieci bez pozwolenia rodziców.

— Moi rodzice nigdy nie pozwolą.

— W takim razie musisz czekać pełnoletności, a tymczasem zmienisz zdanie. Podobałeś mi się mój chłopcze, ale cóż robić.

Osgood odszedł, lecz nie dał za wygraną. Nad wieczorem, korzystając z ciemności i zamieszania, wślizgnął się na statek i ukrył w komorze, gdzie składają żagle.

Od razu zasnął, a gdy się obudził, uczył nieznośny ból głowy. Po ciszy zaś i ruchu statku poznał, że płyną. Jak długo tam leżał naprawdę martwy, nie wiedział — może kilka dni. Nareszcie pewnego ranka marynarze weszli do komory i wyciągnęli go zawiniętego w żagiel.

— Ho! ho! to jest zbieg z domu. Chłopcze, pewnie się omylił i wsiadłeś na inny okręt.

— Nie, nie omyliłem się. Wszak płyniemy do Grenlandyi?

— Naturalnie, i kapitan Penny nie zatrzyma się tym razem w Lerwick, bo inaczej byłbyś tam został. Wiesz, że nasz kapitan nie przyjmuje innych majtków, tylko Szkotów.

— Wyście nie Szkot, poznałem po mowie.

— Ej chłopcze, daj pokój, lepiej chodź na śniadanie.

Do jakiegokolwiek narodowości należał ten człowiek, mniejsza, lecz okazał wiele dobroci względem Osgooda. Zaprowadził go do starszego oficera, a oficer do kapitana.

Kapitan tylko się roześmiał.

— Weźcie go do jakiej roboty i nie bardzo go męczcie. Zaprowadzono go między majtków.

— Czy wiesz, jaki jest u nas zwyczaj? — rzekł sternik. — Jeżeli kto znajdzie takiego „uciekiniera”, jak ty, to mu daje w skórę na pamiętkę.

Osgood nie nie powiedział, a tylko zdjął kurteczkę.

— Daj pokój, daj pokój, czy doprawdy myślisz, że będę bił takiego malca? Gdyby mi dawano dowództwo okrętu, jeszczebym się nie zgodził.

— Jeżeli jest taki zwyczaj, należy się do niego zastosować; co do mnie, to się bicia nie lękam. Przywykłem w szkole. Tym razem ci daruję. Idź, pomagaj kucharzowi.

Po powrocie z podróży, kapitan Penny odesłał Osgooda do rodziców z listem własnoręcznym, i zapewne ten list przekonał starych fermerów, bo mu już nie bronili iść na morze.

W jednej z następnych podróży zdarzył mu się dziwny wypadek. Na okręcie był kot, należący do kapitana, śliczny czarny angora, ulubieniec całej załogi, otóż pewnego wieczoru, przy silnym wietrze kot spadł z baryery do morza. Spostrzeżono go zaraz, spuszczone długi drąg, aby się mógł po nim wdrapać, ale fala odniosła go daleko, i już się biedak zanurzał w wodę. Osgood, słysząc krzyki, nadbiegł z przeciwnej strony okrętu, a gdy zobaczył, co się dzieje, nie namyślając się ani chwili, wskoczył do wody i płynął na ratunek ulubieńca. Ale zapomniał, że reki kręciły się koło okrętu. Już dostrzegł

kota, już wracał z nim do spuszczonej łodzi, gdy nagle jeden z tych potworów napadł na niego z otwartą paszczą. Ale kotek nie stracił przytomności i, ile razy rekin się zbliżał, on się jeżył i parsknął, a tymczasem łódź nadpłynęła i uratowała ich obu t. j. Osgooda i kota.

— Joe — rzekł pewnego dnia przy obiedzie Reynolds — już mam dosyć polowania na fok, męczy mnie to ustawiczne zabijanie małych. Kiedy byłem chłopcem i marzyłem o życiu marynarskiem, nie myślałem nawet, że jest ono połączone z takimi okrucieństwami. Chciałbym należeć do jakiejś wyprawy naukowej.

— Każda wyprawa przyjmie pana z radością — rzekł Joe — ale jeżeli to już będzie zdecydowanem, proszę o mnie nie zapomnieć. Zostanę chętnie kucharzem, albo nawet chłopcem okrętowym.

Kiedy to usłyszał doktor, obaj chłopcy i Sigurd jeden przed drugim wołali:

— I mnie, i mnie!

Swolto, młody Lapończyk, który właśnie podawał półmiskę, dodał nieśmiało:

— I mnie także.

Kapitan Reynolds roześmiał się.

— Mój Boże, jabym was wszystkich wziął z sobą, ale gdybym się mógł przyłączyć do jakiej wyprawy naukowej, to będę zajmował stanowisko podrzędne. A zresztą to takie dalekie projekta! Zobaczmy.

Speedy wioził ładunek kilku tysięcy skór, i już Reynolds miał dać hasło odwrotu, gdy ujrano wielkie stado fok na lądzie o parę mil w kierunku wschodnim. Cała ławica podzielona była na części, wiatr dął z zachodu, więc łatwo można było doprowadzić tam statek.

Słońce świeciło bardzo jasno, nawet za jasno — myślał Sigurd, który miał więcej doświadczenia od innych. — Powierzchnia morza, prawie pozbawiona promieni, wyglądała jak z polerowanego szkła, i o północy można było nawet policzyć plamy gołem okiem.

Foki leżały obok siebie tak blisko, że je zabijano po dwie lub trzy na raz, i myśliwi pracowali bez ustanku przez dwadzieścia cztery godziny, zapominając o śnie i jedzeniu. Od pola do okrętu prowadziła krwawa ścieżka, którą ciągnięto odarte skóry. Zabito ostatnią fokę, i marynarze wracali radośnie na pokład, ale tu czekała ich smutna niespodzianka: Speedy stał nieruchomy, otoczony lodami.

Kapitan Reynolds nie stracił humoru. Był to jeden z tych ludzi, których nieszczęście nie przeraża, bo umięją mu zaradzić.

— Joe, cóż ty na to?

— Ja myślę, że się los zemścił na nas za figła, któregośmy wypłatali Pelikanowi.

— To prawda, ale trzeba jakoś sobie dawać radę.

Przez trzy tygodnie trzymał mróz, i Speedy nie mógł zamaryć o dalszej drodze. Z początku statek otaczały tysiące ptaków, karmiących się mięsem zabitych fok, ale gdy tego nie stało, odleciały w dalsze strony, a dokoła okrętu zapanaowała cisza i samotność. Z północy nadpływały gromady brył lodowych, zatrzymywały się przy ławicy i marzły, tak, że gdy w pierwszych dniach morze oddalone było zaledwie o pięć mil, po upływie tygodnia nie można go było dostrzedz z bocianiego gniazda.

Zdarzyć się może w takich warunkach, że okręt pozostaje uwięziony przez rok i więcej, a załoga, wyczerpawszy zapasy żywności, powoli wymiera. Jedną okolicznością zmniejszała niebezpieczeństwo, a mianowicie ruch powolny całej ławicy na południo-zachód, gdzie wody cieplejsze topią i rozrywają lód.

Kapitan i Joe robili codziennie bardzo dokładne obserwacje słoneczne i spostrzegli, że droga, jaką przebywali wraz z polem lodowem, zmieniała często kierunek i szybkość. Statek był nieraz narażony na niebezpieczeństwo z powodu pęknięcia i pętrzenia się brył lodowych. Zdarzało się to zwykle

przy silnym wschodnim wietrze, i wtedy cała powierzchnia kołysała się, podnoszona na grzbietach fal, a huk, jaki wydawało pęknięcie lodów, podobny był do grzmiotów albo do ryku niedźwiedzi. Statek to wznosił się do góry, to przechylał na bok, i tylko dzięki swej niezwykłej mocy wytrzymał ogromne rzucanie.

To były ciężkie chwile dla załogi, i czasem niebezpieczeństwo było tak wielkie, zdaje się tak nieuniknione, że kapitan rozkazał przenieść wszystkie zapasy na lód, żagle, z których miano robić namioty, skóry do przykrycia, i już postanowiono opuścić statek. Dosyć jednej takiej nocy, żeby osiwieć ze strachu.

Za to w czasie pogody i spokoju, jaka wesołość panowała na pokładzie Speedy! urządzano gry, polowania na nieliczne niedźwiedzie, każdy starał się uprzyjemnić czas sobie i towarzyszom, ale najmiłsze z całego dnia były wieczory, kiedy zbierano się w kajucie przy jasnym ogniu, kiedy kapitan zasiadał w wielkim fotelu, Collin i Olaf na skórze niedźwiedziej, a doktor i dwaj oficerowie tuż koło nich.

— Cóż wy, chłopcy, myślicie — rzekł kapitan Reynolds — moglibyśmy się wybrać do bieguna, przejść go i wrócić przez Azyę.

— To są wielkie zamiary — zauważył Joe.

— Nie jesteśmy bardzo oddaleni od brzegów Grenlandyi. Cóż łatwiejszego, jak dostać się na środkowy wyż i przebieść go na łyżwach — bo wiadomo, że jest latem i zimą pokryty lodem.

— Więc pan umie biegać na „skich” — zapytał Olaf.

— Nie, mój chłopcze, nie wiem nawet, co to są te „ski”.

— To są długie łyżwy norwęgskie, i za ich pomocą można zrobić dziesięć mil w godzinę.

— Czy chodzenie na „skich” wymaga długiej nauki?

— Ej nie, Collin po dwóch dniach już umiał.

— Cóż, mój stary — rzekł kapitan do Joe — będziemy się uczyli? dobrze?

Z początku szło im trudno i chcieli nawet tego zaniechać, ale po kilku dniach uczynili tak znaczne postępy, zwłaszcza kapitan, że Olaf zrobił im nadzieję, iż za kilka miesięcy mogą się wybrać choćby do bieguna.

(d. c. n.)

## KRÓLEWICZ

POWIEŚĆ Z XV WIEKU

przez

Z. Morawską.

### I.

W wielkie sklepionej komnacie królewskiego zamku w mieście Budzie mrok panował zupełny. W mroku tym majaczyły dwie postacie i rozchodziły się głucho, cicho rozmowy.

— Najjaśniejsza pani, woła waszej królewskiej mości zawsze dla nas święta, raczcie jednak uważać — mówił wysoki, średnich lat, szlachetnego oblicza Jan Hollos Hunyady.

— Uważałam i rozważyłam, żadnych więc dalszych uwag nie słucham — odrzekła, marszcząc brwi Elżbieta, wdowa po Albercie Habsburgu, królu węgierskim.

Mimo te szorstkie wyrazy, Hunyad, dostojnik państwa hrabia na Szöreny, wódz węgierski, nie ruszał się z miejsca.

— Cóż to, czy moje rozkazy wiatrem są dla was! — syknęła Elżbieta.

— Rozkazy waszej królewskiej mości niewzruszonym są granitem, jeżeli przynoszą narodowi spokój — odrzekł Hunyad, kłaniając się do stóp wzburzonej niewiasty.

— Spokój narodu będzie zapewniony, gdy im dam króla.

— Spokój narodu będzie narażony, a bodaj i jego królewskia osoba — odparł Hunyad.

— Cóż to, grozisz? — zawołała Elżbieta, stając przed wodzem i patrząc na niego przenikliwie.

— Najjaśniejsza pani, nie grożę, lecz przedstawiam niebezpieczeństwo.

Elżbieta przeszła kilkakrotnie szybkim krokiem wzdłuż komnaty, spoglądając przytem na kołyskę, w której przyszedł go króla znać nawet nie było.

Na twarzy dumnej niewiasty uczucie matki i obawa niebezpieczeństwa dla maleńkiego syna, walczyły czas jakiś z chęcią wywyższenia i panowania w imieniu jego nad potężnym królestwem Madziarów. Ostatnia znać zwyciężyła, bo nagle stanąwszy przed Hunyadem, rzekła:

— Proszę robić przygotowania do koronacyi — taka moje wola!

— Racz najjaśniejsza pani komu innemu ten honor powierzyć, ja wbrew swoim przekonaniom nic nie uczynię.

Elżbieta zacisnęła złowrogo wargi i z gniewnem ściągnięciem brwi spojrzała na wodza. Znać było, że cała zapalcząwością zakapiała, lecz nim zdołała wyrzucić ją w przednich i nieopatrznych wyrazach, jakimi raczyła nawet najlepszych swoich przyjaciół, Hunyad skłonił się ku ziemi i spieszenie wyszedł z komnaty.

Elżbieta nie pomna na swe dostojęstwo, pobiegła ku drzwom, chwyciła za ciężką oponę, która jeszcze się chwiała, poruszona wyjściem wodza i biegła za nim. Wtem nagle ozwał się głośny płacz dziecka.

Zwróciła się więc ku kołysce, a wyjąwszy z niej maleńkiego, ledwie trzy tygodniowego Władysława, zwanego Pogrobowcem, zaczęła go tulić do łona.

— Dopominasz się synu mój, przynależnej ci królewskiej korony, wołasz za niewdzięcznym sługą twojego ojca, który ci odmawia tronu, ale nie troszcz się, masz matkę, która ci krzywdy zrobić nie pozwoli, a niewdzięcznych potrafi ukarać.

Dziecię jednak płakać nie przestawało, a poruszeniem maleńkich swych usteczek, głośno dowodziło, że mu wcale w tej chwili nie idzie o koronę, lecz jako najwyklejszy śmiertelnik zaspokoić pragnie głód. O tej zaś prostej i naturalnej potrzebie matka wśród troski o przyszłą jego wielkość i potęgę najzupełniej zapomniiała.

Biegała więc wciąż po komnacie i snuła swoje żale, nie przebierając w wyrazach, które jej gniew podawał, a im szybciej i dłużej biegała, tem donośniej dziecko płakało, a krzyk jego chrapliwy i fałszywym dźwięczący tonem, dowodził, iż pierwej o właściwe pożywienie i rozwój sił, niż o koronę matka się starać powinna. Lecz Elżbieta w tej chwili nie mogła o niczem innem myśleć, jak o stanowczej odmowie, którą jej rzucił Hunyad. Jego krótkie, pełno powagi wyrazy, a nade wszystko wyjście z komnaty nim dała znak, że posłuchanie skończone, zdawały jej się wprost obelgą.

Tyle zaś całe zachowanie się Hunyada miało według niej dla królewicza niechęci, że dziecię, musiało tę niechęć przeczuć i głośnym płaczem ozwał się w obronie praw swoich.

Nie wchodząc więc w prawdziwą przyczynę płaczu ukochanego syna, wołała:

— Tak, tak ujmujesz się za matką, którą tak srodze obrażono.

Zresztą, może nawet i nie słyszała kwilenia dziecka, lecz chcąc uspokoić krew gniewem wzburzoną i dać ujście wyrazom, które do ust jej napływały, wyrzucała je całym potokiem gniewliwa niewiasta i biegła coraz szybciej, głośno narzekając. Po wysokiej więc sklepionej komnacie rozchodziły się dwa głosy zmieszane w jeden zgrzyt: Płacz niemożliwości i gniew matki.

Bóg wie jak długo maleńki królewicz byłby się napróżno dopominał pożywienia, gdyby karmicielka jego czuwająca tuż za zasłoną, nie była się odważyła wejść mu na pomoc. Wyciągnąwszy po dziecię ręce, rzekła:

— Najjaśniejsza pani wybacz, godzina posiłku dla najjaśniejszego królewicza właśnie nadeszła...

— Tak, tak, dawno nadeszła, ale wy nie pilnujecie swoich obowiązków i zostawiacie dziecko na pastwę głodu i czyhających nań ze wszelkich stron nieprzyjaciół.

Niańka nic nie mówiąc, odebrała dziecię aby je nakarmić. Oglądała się jednak naokoło, chcąc zapewne dostrzedz owych nieprzyjaciół, o których królowa wspomniiała, lecz ujrzała tylko ochmistrzynię i cały dwór niewieści królewicza, który wsunął się za nią. Znano bowiem popędliwość swej pani, starano się uprzedzać jej żądania i rozkazy, płacz zaś królewicza był dla nich najwyraźniejszym wezwaniem. Zresztą, nikt się nie spodziewał, że niańka weszła bez rozkazu władcy, która poprzednio wszystkich oddaliła, zapowiadając, żeby nikt nie ważył się wejść, póki nie zawoła.

Tak oddaliła wszystkich, bo nie chciała ażeby ktokolwiek słyszał jej rozmowę z Janem Hunyadą. Domyślała się bowiem, iż ten niechętnie się zgodzi na koronację dziecięcia, przygotowała się więc na to, iż w razie potrzeby uda się nawet do prośby. Nie spodziewała się jednak, że ten nieugięty człowiek opuści komnatę samowolnie, nie zostawiając jej nawet tej pociechy, żeby gniew swój na nim wywarła.

— I to mnie, mnie królowej, mnie żonie swego dobroczyńcy, mnie, matce przyszłego króla ubliżył ten, ten...

I w zapamiętaniu swoim nie mogła nawet znaleźć dostatecznego przezwiska dla szlachetnego wodza, tylko wśród wyrazów niotanych na dwór swój i pieszczot a raczej obietnic dla syna, powtarzała ciągle półgłosem:

— Ten, ten zdrajca!

(d. c. n.)

## DLA RODZICÓW i WYCHOWAWCÓW.

Dwutygodnik „Przegląd Pedagogiczny”, zamieszcza artykuły z higieny, psychologii — o wychowaniu i nauczaniu, podręcznikach etc. Jako stałe dodatki wychodzą: **Ogródek dziecięcy**: zajęcia, gry i pogadanki w wieku przedszkolnym; **Metodyczny kurs nauk**; wskazówki do wykładu przedmiotów w średnim nauczaniu.

### KURS SAMOKSZTAŁCENIA

#### wykłady dla dorosłych.

Cena „Przeglądu Pedagogicznego” wraz z dodatkami rs. 1 kop. 50, z przesyłką pocztową rs. 1 kop. 75 kwartalnie.

ADRES — WARSZAWA. ŻŁOTA 26.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

**TREŚĆ:** Ślizgawka, wiersz (z ryc.) — Tajemnice starych grobowców (z ryc.) — Marya Łopuszańska, Na pustyni. — Geografia ilustrowana. — Gordona Stables, Wyprawa do Grenlandyi i bieguna północnego (z ryc.) — Królewicz, powieść z XV wieku przez Z. Morawską. — Dodatek: Dobry przykład (z ryc.) — Urojone strapienie. — List, komedyjka w jednej odsłonie. — Bracia jaszczurkowie. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

Redaktorka **Ludwika Hauke**. Доводено Цензурою. Варшава 11 Января 1897 г. Wydawczya **Marya z Chomętowskich Balińska**.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



# WIECZORY RODZINNE



## DOBRY PRZYKŁAD.

Pięcioletni Staś był niegrzecznym chłopczykiem; raz, myśląc, że mama nie widzi, śliczną, nową książeczkę z obrazkami, którą dostał od wuja na gwiazdkę, podarł w drobne kawałki, mówiąc:

— Jak nie będzie obrazków, to dostanę nową jaką zabawkę, konika albo fuzyjkę.

Ale mama spostrzegła rozrzucone po podłodze kawałki książki, rozgniewała się i rzekła:

— Poszlę cię jutro do szkółki freblowskiej; zobaczysz, jak tam dzieci grzecznie się bawią, nic nie niszcząc i nie psując.

— Kiedy ja nie chcę się z nimi bawić — mówił Staś nadąsany.

Ale mama na to nie zważała i na drugi dzień, wzięwszy synka za rękę, poprowadziła go na Nowy Świat. Przełożona, przywitawszy uprzejmie chłopczyka, który chmurnie na nią spoglądał, poprowadziła go do ławki i posadziła obok dwóch innych: Józia i Henia.

— Dam wam zaraz drewnienka — mówiła — będziecie z nich stawiać domki podług wzorów.

I przyniósłszy pudełko z łamigłówką, pokazała dzieciom, jak ją układać należy. Gdy tylko odeszła, Staś zagarnął do siebie wszystkie drewnienka, a kiedy Józio próbował wziąć z nich kilka, wyrwał mu je niegrzecznie, mówiąc:

— Nie ruszaj, bo to nie twoje!

Józio nie chciał z razu ustąpić, i byłoby może przyszło do bójki, ale Henio starszy i rozsądniejszy przyciągnął braciszka do siebie, przestrzegając:

— Nie spieraj się, mama tego nie lubi, pamiętasz te wierszyki, co nam mówiła:

Kto się klóci, kto się gniewa,  
Ten nigdy przyjaciół nie miewa,  
Złość bowiem, zwłaszcza u dzieci,  
Twarzyczkę każdą zeszepeci.

Ustąp więc Józiu, ustąp!

Józio posłuchał dobrej rady brata, oddał zabawki i przytulił się do Henia, który go uściskał serdecznie,

a Staś zawstydzony spuścił oczy. Dobry przykład widocznie zachęcił go do poprawy, bo wróciwszy do domu, pocałował mamę w rękę, mówiąc:

— Już nie będę nigdy z nikim się sprzeczał, nie będę drugim zabawek odbierał, bo wolę, żeby mnie kochali, jak Józio kocha swego braciszka Henia.

## UROJONE STRAPIENIA.

Krótki i ponury dzień jesienny rzucał ostatnie szare blaski na ściany małego saloniku, umeblowanego skromnie i nie bogato, a jednak wygodnie i ładnie. Ciężkie wełniane firanki osłaniały drzwi i okna i tłumiły nie miłe szmery jesiennego wiatru i deszczu, uderzającego o szyby okien. Niskie, miękkie mebelki ustawione były tak umiejętnie, że zdawały się zapraszać do spoczynku i miłej pogadanki.

Przed kominkiem, na którym wesoly palił się ogień, siedziała niemłoda pani; ręce jej spoczywały nieruchomie na kolanach, a oczy w głąb kominka patrzyły. Chociaż się zdawało, że jest głęboko zamyślona, jednak żaden szmer głośniejszy nie uszedł jej uwagi: od czasu do czasu podnosiła głowę i spoglądała ku drzwiom, jakby nasłuchując i spodziewając się czegoś.

Drzwi te rzeczywiście wkrótce się otworzyły, i ukazała się w nich młoda dziewczynka, szybko i lekko zbliżyła się do siedzącej pani i, osuwając się na stołeczek u nóg jej stojący, głowę na jej kolanach oparła.

— Ach, cioteczko! — zaczęła mówić głosem drżącym, w którym jakby tłumione łzy słychać było — tak niecierpliwie oczekiwałam tej szarej godziny, aby mój przyjsć do ciebie. Tutaj tak dobrze i spokojnie, a tam w domu przez cały dzień tyle męki znosić trzeba, i mama, i nauczycielka ciągle się na mnie gniewają i ciągle powtarzają, że jestem nieznośna. O, ja jestem bardzo nieszczęśliwa!

Łzy przerwały jej mowę, płakała coraz gwałtowniej, przyciskając głowę do kolan ciotki.

— Toni! — odezwała się ciotka głosem, w którym cień nagany słychać było — czyż nigdy nie przestaniesz dręczyć siebie i innych tem wiecznem dopatrywaniem złego tam, gdzie go niema wcale! Czy wiesz, dziecko, że z łaski Bożej posiadasz wszystko, abyś mogła uważać siebie za najszczęśliwszą na świecie dziewczynkę. A pomimo to większą część życia spędzasz we łzach i zmartwieniu. I cóż dziwnego, że, patrząc ciągle na twój smutną, zniechęconą minę i zapłakane oczy, powtarzają ci, żeś nieznośna? Tybyś powinna młodością i weselem ożywiać i rozweselać dom cały. A tymczasem, kto spojrzy na ciebie, to mimowoli musi albo posmutnieć lub

## LIST

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSKONIE.

(Dokończenie).

## SCENA VII.

*(Wbiega Jurek).*

JUREK. Sama jesteś?

NATALKA. Sama.

JUREK. Przecież słyszałem, że rozmawiałaś z kimś, myślałem, że z Anusią.

NATALKA. Rozmawiałam przed chwilą z Lucysiem.

JUREK. Z Lucysiem? Nie może być? A gdzież on jest teraz?

NATALKA. Zdaje mi się, że oknem wyskoczył do ogrodu. Tak się przelał tego chodzącego krzesła.

JUREK. Co ty mówisz, Natalko, o chodzącym krzeselku?

NATALKA. Nie udawaj, Jurku, bo aż zanadto jestem pewną, że to twoja sprawka. Chciałeś mię przestraszyć, przywiązałeś sznurek do nogi krzeselka, przeciągnąłeś go pod drzwiami do drugiego pokoju i zamknąłeś drzwi na klucz, żebym nie mogła uciekać. Ja tymczasem nie myślałam wcale o ucieczce, tylko Lucyś popisał się ze swoją odwagą, dał dowód, ile męstwa posiadają chłopcy.

JUREK *(niccierpliwie)*. Tylko nie ciesz się zawcześnie, bo przekonasz się, że Lucyś nie ze strachu wyskoczył oknem.

NATALKA. A zatem jaki był powód?

JUREK. Może chciał ciebie więcej jeszcze przestraszyć.

NATALKA. Wątpię. Ale pocóż mamy się sprzeczać? Lucyś sam powiedzieć może, co go zmusiło do tak nagłej ucieczki. Wolalabym nawet, żeby powodem do tego nie było tchórzostwo. Nie chciałabym mieć brata tchórze, który przechwała się swoją odwagą, a strachem go przejmuję taka bagatelka.

JUREK. Już tchórzem go nazywasz, a on ani myślał się przestraszyć. Zawsze sądzisz po sobie.

NATALKA. Teraz wcale po sobie nie sędzę, bo przecież nie przestraszyłam się wcale, dowodem tego, że zamiast uciekać wołałam pozostać i przekonać się, co popycha krzesło. *(Wbiega Anusia).*

## SCENA VIII.

ANUSIA. Panienko! paniczu! Co tu za strachy są w pokoju?

JUREK. Któż ci już o tem powiedział?

ANUSIA. Pan Lucyś taki wystraszony przybiegł do kuchni...

JUREK. Pewnie umyślnie to zrobił, żeby was przestraszyć.

ANUSIA. Aha! Już niech panicz nie tłumaczy. Pan Lucyś ledwie dyszy ze zmęczenia. Przebiera się teraz w inne ubranie.

NATALKA. A to dlaczego?

się rozniewać i zniecierpliwic na widok tych łez bez powodu i zrozpaczonej miny.

— Ach, ciotciu moja, cóżem ja winna? — przerwała Tonia, usiłując zapanować nad płaczem. — Mnie się zdaje, że tu mnie nikt nie kocha, nikt nie rozumie i dlatego ja rzeczywiście jestem nieszczęśliwą.

— Cicho, cicho dziecko! ty sama nie wiesz, jak wiele niesprawiedliwości i niewdzięczności mieści się w twych słowach. Posłuchaj, Toniu, aby ci pokazać, jak wiele jest twojej winy, jak wszystko mogłoby być inaczej, gdybyś zechciała zastanowić się głębiej nad sobą i więcej zwracać uwagi na tych, co cię otaczają, opowiem ci historię mojej młodości.

— O dobrze, dobrze, cioteczko! — zawołała Tonia, całując ręce ciotki. — Ja nieraz już rozmyślałam nad tem, czy też cioteczka żadnych zmartwień nie ma, że tak jest zawsze jednostajnie spokojna i uśmiechnięta.

— Otóż widzisz, moja Toniu, nie zawsze tak było. Miałam niegdyś usposobienie podobne twojemu, i właśnie dlatego chcę ci opowiedzieć, jakim sposobem wyleczyłam się z tej przykrej i nieznośnej choroby urojonych strapięń.

Byłam najstarszą z rodzeństwa. Pierwsze lata mego życia upływały bardzo szczęśliwie: miałam dobrych i kochających rodziców, którzy myśleli o mojem wychowaniu i wszystkich moich potrzebach. Lecz wówczas nie umiałam tego cenić i nie czułam się szczęśliwą. Wydawało mi się zawsze, że rodzice i rodzeństwo za mało mną się zajmują, nie dosyć są dla mnie względni, nie zwracają uwagi na małe moje zmartwienia, które ja nieszczęściami nazywałam. Z tego więc uroiłam sobie, że jestem dla nich obojętną, że mię nie kochają, i raz to już sobie wmówiwszy, śledziłam bacznie każdy ich postępek, chcąc go na złe wytłómaczyć. Zajmowało mię to do tego stopnia, że zapominałam zwrócić uwagę na siebie, zastanowić się, czy też oni nie znaleźliby daleko więcej powodów uskarżać się na mnie. Byłam więc najczęściej smutna i niezadowolona.

Kiedy moi bracia i siostra Józia, o parę lat młodsza odemnie, rozmawiali z rodzicami wesoło i swobodnie, ja najczęściej milczałam, połykając łzy i rozmyślając o mojem mniemanem osamotnieniu. Matka moja uważała to dobrze i nieraz starała się wybadać mię i dociec przyczyny mego smutku. Lecz ja w odpowiedzi na jej zapytania umiałam tylko płakać, bo i sama nie potrafiłabym zdać sprawy z tego, co mię czyni tak nieszczęśliwą.

Razu jednego, pamiętam, było to wieczorem, byliśmy wszyscy zebrani w salonie przy okrągłym stole. Ojciec czytał głośno jakąś książkę, matka siedziała nad robotą, a ja i Józia szyłyśmy sukienki dla naszych lalek, braciszczkowie zaś łamigłówkę układali.

Nagle służący nasz Jan drzwi otworzył wołając: telegram.

Ojciec zbladł, odgadując snąc co on zwiastuje.

Jakoż rzeczywiście przyniósł wiadomość o przegranym procesie, pozbawiającym nas całego majątku. Ojciec wyjechał natychmiast i od tego pamiętnego dnia różne biedy i nieszczęścia zaczęły nas trapić.

*(d. c. n.)*

ANUSIA. Bo z tego strachu przewrócił się w błoto i teraz nie podobny nawet do człowieka.

NATALKA. Widzisz Jurku, że przestraszyłeś go na prawdę.

JUREK. Wstydziliby się Lucyś, doprawdy; nigdy mu tego nie daruję.

ANUSIA. Ach! panicz zrobiłby tak samo.

JUREK. Co? Ja, ja, miałbym się przestraszyć?

ANUSIA. A tak, tak, panicz, nie kto inny.

JUREK. Ja się niczego nie boję.

ANUSIA. A, bo to prawda! Ja sama widziałam, jak wczoraj wieczorem przechodził panicz przez sień, jeszcze nawet ciemno zupełnie nie było i śpiewał sobie dla dodania odwagi. Ja tylko trąciłam szafliczek, co tam stał w kącie, a panicz, jak skoczy do drzwi, to myślałam, że je całe rozbije!

JUREK. To i co wielkiego?

NATALKA. Okazuje się teraz, że nie można wam wierzyć. Chwalicie się, bo jesteście zarozumiałymi, a jednak czyny was zdradzają. Przez to narażacie się tylko na śmieszność.

JUREK. Ach! dajże mi spokój, bo zły jestem! Wszytkiemu ten list winien.

NATALKA. Jaki list?

JUREK (na stronie). Niepotrzebnie się wygadałem. Trudno, trzeba dalej miną nadrabiać. (głośno). Ten list, który pisałaś do Reni.

ANUSIA. Ach! to ja jeszcze tego listu nie zaniosłam na pocztę.

NATALKA. Więc ty czytałaś ten list?

JUREK. Czytałem, i oburzyło mię to, że skarżyłaś się na nas przed Renią. Chciałem ci więc za to dokuczyć.

NATALKA. Okazuje się, że nietylko dziewczęta bywają ciekawe, jak zwykle mówiłaś. Ślicznie cudze listy czytać, tego to się już po tobie nie spodziewałam.

ANTOSIA (biorąc list ze stolika). Panienko, czy mam go odnieść na pocztę.

NATALKA (odbierając list). Nie Anusiu, opiszę jeszcze dzisiejsze zdarzenie z krzeselkiem. (wychodzi).

JUREK (biegnąc za nią). Natalciu, moja najdroższa, wróć się, słuchaj!... Poszła! Co tu robić, żeby nie pisała o tem do Reni? Ach, jakże żałuję tego; a to ten list, ten list, wszystkiego narobił.

ANTOSIA. Ech! lepiej na ten list nie spędzać, bo to panicz winien. Nie trzeba było być ciekawym i mściwym, bo to bardzo brzydko.

JUREK. Niema innej rady, tylko muszę iść przeprosić Natalkę. (wychodzi).

N...ka.

## BRACIA JASZCZURKOWIE

(Dalszy ciąg).

— Wiecie co, chłopcy — rzekła — pójdźcie ze mną do mamy; zrobimy jej niespodziankę. Tylko proszę nie galopować, nie lecieć; jużem wprawdzie wydobrzała po chorobie, ale jeszcze to tam nieświeźnie idzie, zwłaszcza

ze skakaniem. Powiadam wam, dzieci, niema na świecie stworzeń bardziej nieokrzesanych, jak kaczk.

Dochodząc do mieszkania jaszczurki, rzekła żaba:

— Czekajcie tu na mnie, pojđę naprzód.

Wszedłszy do altany, powitała kuzynkę i zaczęła zciicha:

— Nie spodziewałaś się mnie tak rano, droga przyjaciółko, ale mam ci oznajmić wiadomość wielkiej wagi i dlatego przybiegłam wcześniej. Mówiono mi, że twój mąż przebywa gdzieś w pobliżu.

— Niepodobna! — zawołała, blednąc, jaszczurka.

— Niestety, wiem o tem z najpewniejszego źródła i sądzę, że niema co zwlekać, tylko trzeba dzieciom odrazu całą prawdę powiedzieć, choć wiem, ile cię to będzie kosztowało.

— Dzieci moje! — zawołała głośno jaszczurka — zbliżcie się i słuchajcie! Grozi wam straszne niebezpieczeństwo. Gdyby się ojciec o istnieniu waszem dowiedział, życie wasze wisiałoby na włosku. Niestety ciążę nad rodem jaszczurek!

Nawet najpocziwszych — dodała żaba.

— Ojcowie zjadają własne dzieci, póki są małe i nie umieją się bronić; ach niestety... bywały lata głodu, gdzie i matki-jaszczurki rzucały się na swoje niemowlęta... \*).

— O mój Boże. A ja myślałem, że życie składa się z samych promieni słońca, wesołego polowania na zwierzynę i błogiego we śnie spoczynku — rzekł Grubosław.

— Myliłeś się srodze, synku mój kochany; niezliczone są zastępy naszych wrogów; musimy się bronić chytremi wybiegami, zręcznością, a w ostatecznym razie, gdy konieczność wymaga, i walczyć odważnie z nieprzyjacielem. Lecz, niestety, najczęściej bywamy pokonani.

— Oj dawniej, dawniej inaczej bywało — rzekła ciocia żaba. Przed laty żyły na ziemi olbrzymie jaszczurki... tak wielkie może, jak ten buk, pod którego korzeniem chowaliście się przedemną. Po morzu pływał sobie ogromny Blufblaf, potwór o strasznych, okrągłych oczach, dwa razy większych od liści lilii wodnej. Albo Długoszyjec; aaaa, tego to warto było widzieć: lekko biorąc, pięć tysięcy razy większym był od was; a zły... hu! Były wtedy także skrzydlate jaszczurki, paszcze miały ogromne, a zęby jak noże. No... jakby tak która napotkała kaczkę, ciach! jednym zamachem odgryzłaby jej szyję.

Tak, tak, moje dzieci, złote to były czasy; ale, niestety, minęło już po nich kilka tysięcy lat.

— No to zkądże ciocia może o tem wiedzieć? — spytał Kłopotek.

— Kłopotek, Głupotek! — skarciła malca żaba — z historii powszechnej dowiadujemy się o takich dawnych dziejach.

— A historia od kogo się dowiaduje?

— Hm, hm, hm — odchrząknęła żaba — jeden opowiada drugiemu, drugi trzeciemu i tak dalej. Z tego się potem tworzy historia; ale trzeba mieć wyborną pamięć, inaczej bowiem powstają rozmaite błędne podania, i dochodźże tu, gdzie prawda.

\*). Wszystkie te i inne uwagi stosujące się do obyczajów jaszczurek są prawdziwe.

— Możebyś nam co opowiedziała o Blufblafie! — prosił Mocobój.

— Poczekaj, jak będziesz starszy, dowiesz się jeszcze odemnie wielu a wielu rzeczy o swoich pradziadach. Ale nie pora dziś grzebać w starych podaniach, musicie najpierwej nauczyć się, jak sobie radzić na tym świecie, żeby marnie nie zginąć. Więc przedewszystkiem strzeżcie się starych jaszczurek, unikajcie ich jak ognia, póki sami nie wyrosniecie. Bo gdyby was która złapała, a cudem jakim udało wam się wyrwać z jej pazurów i uciec, to przynajmniej ogon wam urwie i zje ze smakiem. Ogonek bardzo łatwo utracić, a potem trzeba dwa lata czekać, zanim odrośnie i... Bogiem a prawdą, już taka jaszczurka nigdy wysmukle nie wygląda.

— Dlatego też ostrożnie sobie poczynajcie z wyłączeniem na drzewa — dodała matka. — Spadnie który jak nic, złamie ogon i już po urodzie.

— Unikajcie węzów — ciągnęła dalej żaba — my, żaby, mamy śmiertelnego wroga w stalowo-szarej ziemi wodnej. Ach... ileż to już moich córek i synów potraciło życie przez tę potworę! Wy jednak nie potrzebujecie się jej obawiać: nie ma ona zwyczaju polować na jaszczurki. Strzeżcie się atoli ziemi brunatnej; jest ona szaro-brązowa na grzbiecie, a żółtawa spodem. Przed tą musicie czmychać, bo to straszny nieprzyjaciel. A znowu bocian to wspólny nasz tyran i prześladowca. Bocian ma długi dziób i czerwone nogi. Śpiewamy o nim co wieczór ładną piosenkę:

Ach, biada żabkom, biada!  
Każda ze strachu blade,  
Bocian jak piorun spada,  
Codzień dwanaście zjada.  
Czy niema na to rady  
By pozbyć się szkarady?

Chór: Rady, rady, rady, rady!

Melodya w des mol. Albo ta druga, jeszcze smutniejsza:

Ach Bocian... kwa, kwa, kwa,  
Dwie żaby w dziobie ma!  
Żaloszny chórze, skrzecz  
Cudnaby była rzecz,  
Gdyby odleciał precz!

Chór: Za długo to już trwa  
Kwa, kwa, kwa, kwa, kwa!

— Wiele prawdy i uczucia w tej pieśni — zauważyła jaszczurka.

— Cóż, kiedy się na nic nie przyda — westchnęła żaba. — Bociany są zamało rozwinięte, za bardzo głupie, by delikatny sens moralny tych pieśni zrozumieć. Poco właściwie takie potwory żyją na świecie! A wreszcie niech sobie żyją, ale niech siedzą w Egipcie.

— W Egipcie? — spytał Chyżomir — cóż to takiego?

— To jest ojczyzna słońca — odparła matka. — Mam tam dalekich krewnych, prawie tak wielkich, jak owe olbrzymie jaszczury dawnych czasów. Nazywają się krokodyle i zjadają ludzi.

— A ludzie, to co? — spytał Mocobój.

— Coś najgorszego, najszkaradniejszego! — zawo-

łała z obrzydzeniem żaba. — Bociany i węże pożerają nas wprawdzie tysiącami, ale przynajmniej zjadają w całości, jak się przynależy, gdy tymczasem ci łakomcy bez sumienia — ludzie ucinają nam tylko uda, a resztę wyrzucają na śmiecie, skazując na śmierć powolną i okrutną.

(d. c. n.)

## SZARADA

*Pierwsze z czwartem*, zarówno z wiosną, jak w jesieni,  
Dla wdzięku i pożytku słuszenie człowiek ceni.

*Drugie z czwartem*, jakkolwiek dziwaczne i zmienne,  
Wplotło się w obyczaje i sprawy codzienne,  
A krzewiąc lekkomyślnej próżności narowy,  
Stroi swych holdowników od stóp aż do głowy.

*Wszystko* wraz postępowych badań jest wytworem,  
I chociaż pewnym braku uderza pozorem,  
Jako dzieło skończone ma swe ruchu prawo,  
I bez siły zwierzęcej posuwa się żwawo.

## ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Jaskółka dla czytelników.

*Jaskółka*  
*z Anglii*  
*do Polski*  
4  
5  
6  
7  
8  
9

W kwadracie o 9 przedziałkach ułożyły wyrazy, aby litery, oznaczone liczbami, złożyły nazwisko poety zeszłego stulecia. 1) rząd: półwysep na oceanie Wiel. 2) Wyspa duńska. 3) Zbrojna potęga na morzu. 4) Miasto na zach. brzegu Azji

Mniejszej. 5) Poeta z bież. stulecia. 6) Owad dostarczający wspaniałą barwnik. 7) Wyspa przy ujściu rz. św. Wawrzyńca. 8) Ptak, przylatujący do nas na zimę z północy. 9) Nazwa gromady mięczaków.

Sylaby: Km — lan — ma — tra — kra — ko — an — cze — gło — cza — ge — ry — pe — siń — sze — ti — czo — wo — tka — no — tka — land — nar — zant — ski — ni — ko — la — ka — sti — gi.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 3-go.

Zagadki: Cel — cal.

### Łamigłówek sylabowej:

- 1) Bocian. 2) Ukraina. 3) Kura. 4) Opawa. 5) Węgry. 6) Iglawa. 7) Norwegia. 8) Austria. Bukowina.

### Kwadratu magicznego:

K	s	l	o
o	k	u	p
ł	u	n	a
o	p	a	t